

Po co literatura jeszcze jest? Na motywach książek Janusza Sławińskiego „Przypadki poezji” i „Miejsce interpretacji”.

Stefan Szymutko

Stefan SZYMUTKO

Po co literatura jeszcze jest?
Na motywach książek Janusza Sławińskiego
*Przypadki poezji i Miejsce interpretacji*¹

Słowacki – słowo, Sławiński – sława, a Szymutko co? Nic, szym, szum, szurum-burum. Tamte nazwiska zachowują przynajmniej jakiś pozór treści, zaś moje – jedynie szefest czy zgrzyt, raczej nieprzyjemny jak pocieranie żelazem o żelazo. Może jednak własna treść jest w tym zakłóceniu, prowokacyjnym przeciwstawieniu sensowności – beztreściowego brzmienia? Jakiego wszakże beztreściowego, skoro pustkę imienia własnego wypełnia przekorna chęć ucieczki od znaczenia cokołwiek w treściowe nic?

Ta głupawa zabawa nazwiskami imituje poezję w jej obchodzeniu się ze słowami. Wytrącić słowa z rutyny znaczenia², zamieszać w języku, przed użyciem wstrząsnąć... Nareszcie naprawdę można cieszyć się brzmieniem, kierować się głównie nim, tworzyć ciągi słów na ucho, wyzywająco bez sensu, ładu i składu, nawet nie udawać treści – słowa „niejako przepływają w brzmienie”, prawdziwie,

¹ Opisuję bibliograficznie: J. Sławiński *Przypadki poezji. Prace wybrane Janusza Sławińskiego*, red. W. Bolecki, t. 5, Universitas, Kraków 2001; J. Sławiński *Miejsce interpretacji, słowo/obraz terytoria*, Gdańsk 2006. Zgodnie wszak z przesłaniem niniejszego tekstu – liczy się samo słowo – nie lokalizuję cytatów i odwołań; kto jest ciekaw kontekstu albo chciałby dłuższego fragmentu, niech przeczyta książki Sławińskiego. Nie straci!

² Sławiński cytuje Bińkowskiego: „[Saint-John Perse] stosuje setki semantycznych i syntaktycznych chytrych, ażeby słowo wyprowadzić z równowagi, a wprowadzić je w stan chwiejności”.

Szymutko Po co literatura jeszcze jest?

potok-słowotok z pianą słów i wirami ludzkich spraw. Niech tam, powiedzmy wprost: pisać wiersze to także doznawać radości bredzenia, gadania od rzeczy, rzeczywistości, i od języka, gdyż mowa poetycka jest również wolnością od komunikowania jako powinności społecznej, zatem przyzwala słowom sprowadzać mówiącego i słuchającego „na bezdroża”. Zasluga Białoszewskiego – według Sławińskiego – polega na tym, że „dekonspiruje wstydlive strony języka”, „praktyki językowej [...] „demaskując i przedrzeźniając jej rzekomą celowość i sprawność”, pokazując, jak „ześlizguje się w bełkot”: „Słowu nazywającemu, wyrażającemu, komunikującemu, uchwytnemu w kategoriach gramatyki i semantyki, przeciwstawia Białoszewski słowo manifestujące swoją niezdolność do tych funkcji, swoją niedojrzałość i ułomność”.

W ogóle sztuka jest przecież, jakkolwiek wzniosłym i szlachetnym, wygłupem, jedynie naśladowaniem mówienia i działania, udawaniem, a „twórczość poetycka zawiera w sobie moment igraszki, zabawy i zonglerskiej sztuczki”. Można by upić się tą wolnością od wszystkiego, gdyby nie wątpliwość, kto albo co tu rządzi. Albowiem słowo poniekąd tworzy się z siebie – „przez zbiegi okoliczności językowych” rozwija się akcja „z perypetii samego wystowienia”, to słowo pobudza liryczną fabułę. Sławiński wielokrotnie pisze o władzy słowa, które w wysokim stopniu rozstrzyga, z jakim innym chce być kojarzone oraz co ma znaczyć. Słowa „przepływają w brzmienie”, lecz nigdy nie jest to swobodny przepływ. Słowo jest „jednocześnie i wyzwoleniem, i ograniczeniem”, stąd żywił wypowiedzi tamują rozmaite ramy, w których wolność i konieczność wzajemnie się nie wykluczają: w tych ramach słowa kojarzą się czasem nieuchronnie, nigdy natomiast dowolnie, gdyż związki słów są motywowane „podobieństwem form wyrazowych, współbrzmieniem, odpowiedniościami znaczeniowymi, względami etymologicznymi, utartą frazeologią”. Słowo uwalnia, ale i po swojemu dyscyplinuje, mimo że za pomocą jakiegoś dziwnego regulaminu. Prędzej mówiący podporządkowuje się słowom niż odwrotnie.

Ponadto powraca znaczenie, sens. Powraca? Nie, gdzież tam! Pojawia się jakiś inny, niekoniecznie coś objawiający, za to często niespodziewany. Urok czytania poezji, która nie jest łatwa, uzurpuje sobie prawo do naszej uwagi, wymaga, byśmy poświęcili swój czas na tropienie powiązań między obojętnymi dla nas wyrazami, wśród których, co dopiero nagradza trud lektury, znajdujemy własny, zapisane nasze zdumienie, niepokój, bezradność... („Bądź pochwalony, Nikt”, Paul Celan, *Psalm*, tłumaczył Stanisław Barańczak³). Poezja uparcie rozbija sensy i wykuwa nowe. Nadzieja, której widocznie zabić nie można, „że słowo drażnione samo odsłoni jakieś nieoczekiwane strony i możliwości”.

Prawda, gubimy się w wielosłowniu wierszy, skłóconym ze słownikiem i gramatyką, nie potrafimy tego wielosłowia objąć (wystarczy pojedynczy wiersz), ogarnąć – niechby w znaczeniu: jako tako posprzątać. Myślowo to niewygodne, przynaj-

³ P. Celan *Utworthy wybrane*, wyb. i opr. R. Krynicki, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2003, s. 133.

my atoli, iż życiowo prawdziwsze, ponieważ, o czym wszyscy wiemy z doświadczenia, rozumiały się w życiu jedynie fragmenty, cząstki. Które, *notabene*, poezja, czyli mowa niepraktyczna, też pomaga nam przeczytać dzięki swej wrażliwości na egzystencjalne drobiny: od Kornhausera nauczyłem się ostatnio „zamarzniętej skórki chleba”⁴, od Olszańskiego wcześniej „wyspy z reklamy papierosów «Mewa»”⁵. Całość pozostaje ciemna z mnóstwem nieporozumień po drodze. Uczmy się, uczmy z niezrozumiałością na plecach! I nie szkodzi, że – powołując się na powyższe – myśl poetycka jak w liryce Różewicza powstaje „jak gdyby z przypadku”. Liczy się szansa na treść; jeśli się ją wykorzysta, nawet Szymborska (nieprawdopodobnie!) może mieć znaczenie, sens, być sensowny. Jeden z bardziej urokliwych zapisków Sławińskiego:

„[...] intryguje mnie i cieszy niefunkcjonalna mowa poetów, jestem po prostu bezinteresownie ciekaw, co jeszcze mogą wycisnąć z języka”.

Niemniej sens nie należy do jednostki, nie jest własnością jednostki. Jednostkowe to kategoria, której Sławiński nie ufa, nie dowierza i bynajmniej, to byłoby za łatwe, nie z powodu języka, który jest nieuchronnie społeczny, począwszy od znaczenia słów – musimy się przecież umówić, że pewien zespół dźwięków oznacza to a to: potocznie nazywa się tę umowę lub umowność konwencjonalnym charakterem języka. Sławiński bardziej obawia się, że jednostkowe musiałoby być zaprzeczeniem społecznego, a kto może wiedzieć, co rozciąga się poza społecznym – jakaś, ale właściwie jaka, pierwotna rzeczywistość jak u Leśmiana, barbaria, czy, zwyczajnie, ciało, z którym nie pogadasz? Czy byłoby to jeszcze Ja? Jesteśmy tak zsocjalizowani, uspołecznieni, że na niespołeczne w życiu (*ergo*: i w literaturze) właściwie nie ma miejsca.

Zamiast jednostkowym, Sławiński proponuje zająć się osobliwym czy indywidualnym, w którym wszak „moje” nie przestaje kłopotać. Wystarczy się wypowiedzieć, by to owo moje od razu przestało być moje: to, co z wewnątrz, natychmiast zostaje zawłaszczone przez zewnętrzne, zmienia się w rzecz, zostaje uprzedmiotowione, wymyka się spod mojej władzy, nie rządzą tym, muszę się w nim rozpoznawać, w sytuacjach sporu wydzierać Innemu, który moje próbuje przerobić na swoje. Sławiński przestaje wierzyć, że coś kiedykolwiek i gdziekolwiek może należeć do mnie, prawie dramatycznie wyznaje: „[...] są moje, ale zarazem wobec mnie zewnętrzne”. Powtarza tę myśl w różnych wariantach: „Mówię o «swoim rozumieniu», ale w rzeczywistości było ono tyleż moje, co wielu innych” (dosadnie porównuje sytuację do zwykłego kupowania produktów na targu).

Smutne, wyjątkowo ponure, kiedy pomyśleć o czytaniu literatury, zawsze niemal kojarzonym z czymś, co własne, osobliwe i jedyne. A tymczasem okazuje się, że jestem tylko członkiem f r a g m e n t e m, e l e m e n t e m, k a w a ł k i e m

⁴ J. Kornhauser *Origami*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007, s. 5.

⁵ G. Olszański *Tamagotchi w pustym mieszkaniu*, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 1999, s. 31.

czytającej publiczności, reprezentantem wspólnoty komunikacyjnej, normalnie: jednym z tych, co czytają podobnie i wzajemnie utwierdzają się w swych odczytaniach. Jam historycznoliteracki banał, mój (zdawałoby się: mój) punkt widzenia odbija „«punkt widzenia» jakiejś historycznie i społecznie określonej publiczności – jej system wartości, kulturę literacką, typ wrażliwości i kryteria gustu”. Taki byłem dumny z oryginalności mojej metody czytania, a gdy dobrze jej się przyrzec, okaże się, iż tylko ją użytkowałem, jej „prawowitym właścicielem pozostaje środowisko odbiorcze”. Wymiarem indywidualnego jest społeczne, na pewno.

Z samym dziełem literackim nie lepiej i nie inaczej. Ta oryginalna domena ducha jest wiązką konwencji, użytych czy zużytych, nieważne, liczy się, że autor dzieła poddaje się, ulega normom. Najintymniejsze komunikaty formułuje w tym, co społeczne, więc tutaj także moje wewnątrz (brr!) wystawia się na zewnątrz. Dzieło literackie jest zbyt niejednostkowe, by jednostka mogła mieć za wiele do powiedzenia od siebie. Zresztą przeciwstawienie indywidualne – ogólne zostaje unieważnione (powtórzę: i tutaj) przez zwyczajność sensów literackich, ich historyczność, a szczególnie historycznoliterackość. Nie da się, obojętnie: w historii czy we współczesności, „dotrzeć do wartości indywidualnej i osobliwej, nie określając naprzód szerszego pola, na którym ona występuje”, to podstawowy warunek, iż możemy ją określić, nazwać.

Rzecz jasna, jest w tym jakaś niewiara w metafizykę literatury, jej pozaczasowość albo (skromniej) ponadczasowość, upieranie się przy – przede wszystkim! – dziejowości decyzji pisarskich, wzmacnianie ich przeszłością i teraźniejszością, by literatury nie podmyły fale nieokreśloności. Aliści niełatwo podważyć pewność Sławińskiego, iż w dziele literackim nie ma niczego oprócz słów – iż język to zarazem tworzywo i rzeczywistość literatury, która ostatecznie jest tylko grą, wyrafinowaną czasem, lecz jak każda inna toczącą się według reguł, w związku z tym jakoś przewidywalną. Słabość do anarchii, mimo umiłowania porządku? I co z tego? Szukanie nadzwyczajnego w zwyczajnym jest naiwnością, bo niby skąd miałyby przyjść? Same sformułowania – spodziewanie się niespodziewanego, przewidywanie nieprzewidywanego, czekanie na niespodziewane... – brzmią absurdalnie, gdyż nic aż tak cudownego nie może się zdarzyć, przydarzyć w uregulowanym języku literatury. Dziwna potrzeba całkiem nieoczekiwanego w tym, co z góry jakoś wiadome. Nawet w tak bogatej znaczeniowo poezji Leśmiana treść pozostanie uboga, moszcząc się od tak do nie, od afirmacji do negacji, „między parą antonimów”. Bardziej nudna od literatury jest tylko jej historia, w której coś się tam czemuś przeciwstawia, coś niby zmienia i nic właściwie z tego nie wynika: „Cóż bowiem z tego, że jakimś neoklasycyzmowi przeciwstawiają gwałtownie jakiś nowy romantyzm, czy poezji lingwistycznej – ekspresjonistyczną bezpośredniość?”.

Wszystko kończy się przecież, co najgorsze, obumarciem tkanki poetyckiej; Sławiński przedstawia problem, naturalnie, w terminologii językowej – opisując degrengoladę wyrażania, upowszechnienie się danych sposobów, aż do przeróbki na matryce, pisze obojętnie (?), że „ze sfery «stylu» przechodziły do sfery «gramatyki» literackiej”. Z żywego kiedyś stylu zostaje zwiedła maniera, niestety.

Dlatego zadziwia, że coś tak zwykłego jak dzieło literackie uważane jest za tak niezwykle – iż dzieło, które jest z samego ludzkiego, niepokoi. *Horror vacui* niczym w porównaniu z horrorem zwyczajności, a zwykłość gorsza niż pustka? Z jakiego powodu ukradkiem odwracamy od dzieła wzrok, najpierw pod pretekstem zainteresowania tłem, snując refleksję nad użytymi motywami, rodzajem problematyki, historią idei itd.? Bo swojskie ma być obce i gdzie indziej; ma być obcoświatem. Sławiński słusznie kpi z hermeneutycznego wsłuchiwania się w dzieło, ponieważ w dziele literackim można się dosłuchać jedynie słów. Lub słuchać głęsz: gdyby nawet była głębia i drugie dno, poszukiwać trzeba – jak w *Skradzionym liście* Poe’a – „na powierzchni”. A że język jest obarczony tradycją, kulturą, że coś znaczy oprócz lub ponad, że w ogóle trzeba jakiejś wiedzy (nie tylko znajomości liter), żeby czytać, to oczywistość – jedna z nielicznych, których nie trzeba prze-myśleć, gdyż nie ma o czym myśleć.

Jawnie chcemy siebie postraszyć czy przestraszyć, gdy naprawdę nie ma się czego bać. Dzieło jest przecież tak zwykle, iż nawet niezrozumiałość w nim (bełkot, mętniactwo, chaos wyrażen...) da się zrationalizować bez trudu (na przykład zobaczyć w nim wystąpienie przeciwko nijakości gramatyki). Ze zwierzątka robi się zwierzę – jak w *Bolku i Lolku* z kota tygrys. Czasem rodzi się brzydkie podejrzenie, że żadnego utajonego, tajemnego nie było, nie ma i być nie może, a dzieło wmawia się zagadkowość – jakaś nadęta zмова piszących, jednocześnie: strach przed nieobecny i tajemnica na siłę. Jakbyśmy lękali się także (czegoż by innego?) prostoty istnienia; faktu, iż dzieło po prostu jest, aczkolwiek kłopoty interpretacyjne zaczynają się – to zgroza! – od tego, że go nie ma, mimo iż stoi na półce lub leży na biurku w mieszkaniu interpretatora. Ewentualnie: kurzy się w rękopisie...

Wstępem do interpretacji przy takim założeniu (zrozumiałe) musi być ontologia, owszem, nieco zabawna ontologia przez to, że dzieło literackie nie przestaje spokojnie być, trwać niezagrożone, kiedy interpretator rzekomo ocala je przed nicnością, heroicznie wydobywa z mgły nijakości, żmudnie rekonstruuąc jego sposób istnienia, czy to jako budowlę w dawniejszych koncepcjach, czy w tekstowym rozproszeniu po dwudziestym wieku. Dzieło wszystko to wytrzymuje, jest wytrzymalsze niż wszelka teoria (w tym warstwowa teoria dzieła: „[...] kolejne poziomy po prostu znikają w miarę postępu analizy” niczym rusztowania zasłaniające budowlę), zatem wprzód trzeba tę pewność istnienia dzieła zakwestionować – nie jest to łatwe, mimo że wystarczy przywołać konteksty (gatunkowe stylistyczne...), by podważyć jego ostateczny kształt, przypomnieć i wypomnieć dziełu „proces decyzyjny twórcy”. Sławiński twierdzi, iż interpretacja „wychodzi poza tę [pisarską] faktyczność dokonania”, że jej rzeczywistością jest stan przejściowy „między obecnością i nieobecnością dzieła”. Nie wiem, czy się nie myli w łagodności rozpoznania. Interpretacji, moim zdaniem, bardziej przydałoby się nieistnienie utworu.

Czyż właśnie nie o nieistnienie chodzi w analizie, czyli rozbiorze dzieła, dzieleniu go, kawałkowaniu (warstwy, fazy...); czyż owo „metodycznie rozczłonkować” nie przypomina sekcji zwłok? Tym bardziej, że w analizie utwór się przygotowuje –

cudzysłów Sławińskiego nie bardzo temu zaprzecza; cytuję: „«spreparowanym» utworem”⁶. W każdym razie nie postępuje się uczciwie, lecz interesownie: podprowadza, ustawia, przywołuje do porządku, faworyzuje pewne poziomy, zaniebduje inne, dowolnie określa się konteksty (tylko wybrane) „z niemożliwej do określenia mnogości kontekstów utworu” (dodajmy ironicznie: postępuje się tak pod pozorem nieproceduralności interpretacji). Nie tylko krytykom należy się więc miano „uprawiających agresję wobec literatury”. Po co owo zło? Żeby zawłaszczyć utwór, „uczynić go bezspornie w l a s n y m obiektem” [podkreślenie Sławińskiego] – ontologia literacka jako narzędzie własności, fajnie.

Równie ważne jest owo „bezspornie”. I wcale (w tym także nie zgadzam się ze Sławińskim) nie zależy tu nikomu na władzy dla władzy, potwierdzeniu siły meta-tekstu jako aparatu „badawczej przemocy”, najmniej zaś na opanowaniu „rozproszonego i zindywidualizowanego sensu” utworów, mimo iż teoretycy pewnie i słusznie się go obawiają – nie potrafiąc sobie z nim poradzić, wołają trzymać się od niego z daleka. Nie przejmujemy się i my wszak za bardzo teorią, ważniejsza jest instytucja, która lekce sobie waży fanaberie wszelkich koncepcji i tych najbardziej anarchistycznych, wywrotowych (światny, cyniczny początek tytułowego rozdziału *Miejsca interpretacji*). Janusz Sławiński doskonale rozumie retoryczny charakter interpretowania, jego wymiar społeczny w problemie pt. „zawładnąć utworem”. Rzecz w tym, główna rzecz, żeby przegadać pozostałych. Nietzscheańska wola mocy mówiących ma dość przyziemny charakter: okazać się najmądrzejszym i najpiękniejszym w wiosce⁷ (najlepiej: globalnej). Mniej liczy się nawet udowodnienie, że moja interpretacja jest najlepsza, choć w tym celu ją podejmuję (inaczej, słusznie pyta Sławiński, po co nowa, inna czy jakakolwiek?).

Zakłamanie interpretatora ujawnia się w jego stosunku do instytucji (dekonstrukcjonista konstruuje doktorat, habilitację, profesurę) i merytorycznie, kiedy (np.) perswaduje, że dana wykładnia jest wolna od przesądów albo przedśądów – bzdura, żaden antydogmatyzm nie może się obyć bez tradycjonalizmu (tu ze Sławińskim zgoda). Oraz, ach, to odgrywanie bezradności poznawczej (albo i spoufalenia z utworem), troski o tajemnicę, „teraz będę przeżywał!” Sławiński bezwzględnie obnaża zakłamanie, kabotyństwo, nieautentyczność interpretatora, który w dodatku okazuje się nudny, gdyż ilość możliwych scenariuszy interpretacji jest ograniczona, chociaż każdy interpretujący przekonany jest o własnej oryginalności:

Interpretacja jako prostoduszne sprowadzanie nieznanego do znanego; jako dorabianie nowego klucza do kluczy już wypróbowanych; jako naleganie na zmianę metodyki czytania; jako „doczytanie” – niedoczytanego; jako eliminacja sporności w rozumieniu czegoś, co uchodziło za trudne; jako przywrócenie – czy wzmówienie – trudności czemuś, co uchodzi za łatwe do zrozumienia.

⁶ Następnym razem już bez cudzysłowu: „Tekst spreparowany przez analizę”.

⁷ Mój przyjaciel (naszą przyjaźń docenia TP SA) używa frywolnego powiedzonka o długości pewnego narzędzia.

Można być albo pluralistą, albo zwolennikiem jedynie słusznej wykładni, albo tradycjonalistą, albo rewizjonistą, albo glosatorem, albo totalistą (sensu) itd. itd. Trudno wymyślić coś innego, coś, czego jeszcze nie było, więc pozostaje gadanie tego samego na okrągło lub – w najlepszym przypadku – tak samo. Zajęcie nużące i wyjaławiające, łatwość pisania kolejnego tekstu... Lecz także główna słabość interpretacji, z której sam Sławiński nie zdaje sobie dostatecznie jasno sprawy, o czym świadczy jego interpretowanie. Popatrzmy! Sławiński zachwyca się fragmentem wiersza Jachimowicza: „Przedmioty mają piękne ciała zastygłe w ruchu przeznaczeń”. Interpretuje następująco: „[...] próba przedstawienia przedmiotów w momencie, kiedy odcięta została od nich perspektywa humanistyczna, w chwili, gdy dopiero co utraciły kontakt z człowiekiem”. Co się okazuje? Ze interpretacja mimowolnie świadczy przeciwko dziełu: utwór sam nie potrafi mówić (interpretator przecież nie mówi tego samego, co wiersz), trzeba utworowi pomóc w artykulacji, podtrzymywać, żeby mógł przejść na stronę sensu. Kaleka jakiś, niepełnosprawny? Literatura w interpretacji nie znaczy sama z siebie, jej ważniejszy czy właściwy sens jest zawsze w innym miejscu. Gdzież to nie zabieramy literatury, żeby go znaleźć!?! Na wykłady z filozofii, do gabinetu psychoanalityka (ostatnio raczej Lacana niż Freuda), na wiece i na hece. Sens jest tu, w literaturze, i gdzie indziej, jak to w ogóle możliwe? Sądząc na podstawie interpretacji, literaturoznawstwo jest najbardziej niepewną siebie dziedziną wiedzy, jakby gardzącą własnym przedmiotem, gotową zawsze opuścić go dla innego. Wątpiąca też w siebie, gdyż nie ma chyba dziedziny niecierpliwiej wypatrującej drugich dyscyplin ludzkiego poznania. Literaturoznawstwo najwyraźniej gardzi sobą, niezdolne, by być sobą do końca. I dziwimy się, że nas nie szanują, lekceważą, skoro sami kwestionujemy wartość tego, czym się zajmujemy... Literatura (opamiętajmy się, siostry i bracia w polonistyce!) nie jest terenem skażonym, zarazą, więc może już dosyć podlizywania się innym dziedzinom, stać nas na własną zadumę.

Najpierw i ponad wszystko nad dziwnością wyrażania czegokolwiek, mimo zwykłości, zwyczajności i powszechności wyrażania – docenimy dzieło literackie w tym dziele znaczenia! Bardzo mi się podoba, że Sławińskiego, strukturalistę z pochodzenia, nie więzi język. Woli (o to go podejrzewam, patrząc mu na słowa) pisać o słowie, wysłowieniu, a, gdy czasownika użyć należy, o „wysłowić”, chociaż jego ulubiony Białoszewski zastanawia się, „jak by się tu wyjęzyczyć”, a ceniony Bienkowski też wybiera język jako podstawę (to język poeta „bada, analizuje i interpretuje”). „Wysłowić” lepiej wyraża, co słowu zawdzięczamy: iż nazywa, iż nie pozostawia nas bezradnym wobec czegoś, co nas nęka, niepokoi, a o czym chcielibyśmy pomyśleć i pomówić. Bez niego bylibyśmy bezradni wśród rzeczy, spraw i, najważniejsze, ludzi. Uporczywość naszego mówienia, chociaż „bezimiennosc zawsze będzie rozleglejsza od obszaru pozwalającego się zwerbalizować”. Zadanie zawsze do wykonania: pokonać „przeźrzeń wypełnioną niemym sensem, oczekującym na werbalizację”. Niekoniecznie, żeby od razu być Adamem, nazywać świat – wystarczy przezwąć, by coś mogło pojawić się w naszej świadomości i mowie („[...] opozycja nazwy i przedmiotu i całej serii jego peryfrastycznych przezwień”).

Literatura – wbrew literaturoznawczym uroszczeniom – nie potrzebuje nikogo, kto by mówił zamiast niej, sama robi to najlepiej, przed dobrym wyrażeniem czegoś wypada jedynie zamilknąć. Może również to krępuje i jednocześnie prowokuje interpretatora, by zagłuszać? Niepotrzebnie, książka Sławińskiego nazywa się *Przypadki poezji*, lecz nie rozstrzyga, kogo spotykają: poetę czy czytelnika? I dobrze, że nie rozstrzyga, bo obaj zajmują się wierszem z tego samego powodu. Piszemy i czytamy – jeśli jeszcze warto czytać... – żeby znaleźć słowo, a słowa, godzi się dyskretnie przypomnieć tę oczywistość, nie są sobie równe, bywają lepsze i gorsze. Przedzieramy się przez gąszcz nie tych, zanim zdarzy się, jeśli się zdarzy, iż „niespodziewanie wyłoni się uderzająca swoją trafnością formuła jakiegoś nurtującego nas problemu”. Owo „niespodziewanie” zasługiwałoby na osobną refleksję, właściwie nie wiemy, jak pojawiają się słowa, zaskakują samego mówiącego, przejmują jego intencję mowy; znamy tylko – jakże żałosna to wiedza! – brzmienie i znaczenie słów. Doprawdy, mamy co robić, zamiast szwendać się po obcych dziedzinach i marnować czas na interpretację.

Po co interpretować – głośno pytam, konkludując – kiedy dzieło mówi za mnie? Po co je ruszać, kiedy i tak pozostanie (całe szczęście!) tam, gdzie jest? Gdzie indziej powinno nas literaturoznawców interesować wyłącznie jako literackie inaczej, odmiennie (jak podkreślone przez Sławińskiego, „g d z i e i n d z i e j” Białośzewskiego). Lepiej nam zostać przy swoim: przy wysłowieniu, w spokoju wysłowienia, w sile wysłowienia, w korzyściach wysłowienia, cieszyć się, że możemy wysłowić. Proponuję wyrzucić interpretatora i zastąpić go objaśniaczem (wzruszyłem się, kiedy znalazłem to słowo w książce Sławińskiego⁸). Nie dlatego – tak łatwo mnie nie przyłapiecie... – że objaśniacz wie więcej o historycznoliterackości dzieła albo (przynajmniej) przykłada do niej większą wagę, a sporo o historycznoliterackiej zwyczajności, zwykłości tworzenia i odbioru było mowy; okazałoby się wówczas, rzecz jasna, iż to tylko jeden z rodzajów interpretacji: interpretacja historycznoliteracka.

Objaśniacz (pierwsza z zalet) godzi w literaturoznawstwie stare i nowe, uspokoi tradycjonalistę swym szacunkiem do dzieła oraz dogada się z nowoczesnym i postnowoczesnym co do nieokreśloności sensu, gdyż objaśniacz wcale nie pragnie określać. Chce pozostawić sensy innemu czytającemu, pozostawić w „pierwotnym” rozproszeniu, pozwalając im zachować swój kształt, niech same znaczą. Objąśniacz wskazuje na właściwość, a nie daje wytłumaczenie. Z tego, że w poezji Leśmiana znajdziemy „asymetrię znaku i sensu”, jeszcze nic nie wynika, poza tym, iż sformułowanie brzmi specjalistycznie i trzeba trochę intelektualnego wysiłku, żeby je zrozumieć – objaśniacz nie ma jednak obowiązku spłycać czy spłaszcząć, nawet mu nie wolno, nie godzi się; upraszczać zabrania lojalność wobec złożoności literatury. Podobnie ze stwierdzeniem, że u Leśmiana „istnienie i istota są za-

⁸ „Oczywiście, w znacznej mierze wiąże się to, a raczej wiązało, z potrzebami zawodowymi, z chęcią publicznego wypowiedzania się o rzeczach przeczytanych – występowania w roli ich krytyka czy objaśniacza”.

wsze gdzie indziej”. Oczywiście, to twierdzenie nie musi być prawdziwe, jak przecież często nie jest prawdą to, co widziałem z oddali, kiedy zobaczę owo coś z bliska – ta powszedniość, potoczność pomyłki, pomyłka na co dzień, która jednak skłania do jakiegoś myślenia, choćby o identyfikacji: co to za przedmiot?

Objaśniacz nie służy wiedzy historycznoliterackiej, wykorzystuje ją (inne dziedziny wiedzy podobnie) w przybliżaniu sensu, tak czyni Sławiński, kiedy komentując wypisuje z tekstu Szekspira fragmenty, które mogą się przydać w rozumieniu tego, co mówi Herbertowski Fortynbras, na co odpowiada, co chce wyjaśnić martwemu Hamletowi (słynna interpretacja *Trenu Fortynbrasa* Zbigniewa Herberta). Analogicznie objaśniacz postępuje z poetyką, podpowiada, czym jest i jaka jest funkcja (językowa, literacka, treść) anakofutu, paronomazji, anagramu itd. – ba!, pokazuje, gdzie one w tekście są, ponieważ nie każdy potrafi z tych samych liter ułożyć inne słowo. Objąsniacz uparcie będzie zastanawiał się, co takiego jest w metaforze albo innym poetyckim przekształceniu, czego nie ma w dosłownym. Mimo pokusy i potrzeby całości (jak w Sławińskim – nie, żeby lepiej wiedział, co myśli, niż on sam, odczuwam tylko jakiś niepokój myśli), ważniejszy dla niego jest chyba fragment.

Interpretator jest zawsze gdzie indziej, musi być gdzie indziej, szczyli się tym, mogą wywołać nudności opisy podróży tego samochwały – ponieważ utwór stoi tam, gdzie stał, objaśniacz pozostaje na miejscu oraz na swoim miejscu, gdyż dzieło zarazem jest to samo, chociaż, wiemy, iż nie takie samo (tekstołodzy zmieniają tekst, czasy się zmieniają...).

Objąsniacz jest wiorny, w związku z tym nie tak kolorowy jak interpretator, który atrakcyjnie zdradza non stop i wte, i wewte. Szary objaśniacz nie wstydzi się własnej monotonii, nie krępuje go, że się powtarza, gdyż powtórzenie jest logiczne, kiedy przedmiot jest stały – mowa w poezji Białoszewskiego nie przestanie osuwać się w bełkot, dlatego że napiszę o niej w innym miejscu⁹ (Sławiński powtarza świadomie: „[...] co już gdzie indziej miałem sposobność napisać”). Jakaś prawda bowiem jest i tyle, odróżniamy „interpretacje bardziej wiarygodne od mniej wiarygodnych czy wręcz niewiarygodnych”, skromna, co prawda, prawda.

W ogóle objaśniacz jest skromniejszy, nie wynosi się ponad utwór, ostrożnie wartościuje – postawa nie do przyjęcia dla interpretatora, który w praktyce przekonuje, iż dzieło istnieje z łaski jego domniemanie twórczej myśli (u Parnickiego, mniejsza o kontekst: „[...] Bóg w ogóle tylko z łaski myśli twojej istniał, jako wniosek doskonałe trafny, choć wcale niekonieczny, oszałamiająco wnikliwego rozumowania”¹⁰). Rolę objaśniacza interpretator uważałby za poniżającą, obrażałaby jego poczucie własnej godności i dumy, musiałby służyć tekstowi. A co, zapytajmy beczelnie spokojnie, w tym złego? Możemy sobie wyobrazić dzieło bez interpre-

⁹ Por. w *Przypadkach poezji* szkice o Białoszewskim i *Próbie porządkowania doświadczeń*.

¹⁰ T. Parnicki *Słowo i ciało. Powieść z lat 201–203*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1959, s. 460.

Szymutko Po co literatura jeszcze jest?

tatora, lecz nie interpretację bez dzieła (choćby wymyślonego), nie byłoby historii literatury bez literatury. W ujęciu Sławińskiego objaśniacz ma więcej wspólnego z nauczycielem niż uczonym, mędrcem, naukowcem, bajeranckim eseistą, z żadnym wszakże poważnie zrędlwym belfrem, bardziej: trenerem, mistrzem w znaczeniu „tego pchnięcia nauczył mnie król”. Tylko taki – najlepszy! – dydaktyzm.

Objaśniacz, mimo zarzekania się Sławińskiego i jego kpín ze wsłuchujących się w dzieło hermeneutów, też ułatwia usłyszenie głosu utworu; zarzekania może o tyle prawdziwego, o ile objaśniacz mniej słucha, więcej obserwuje, widzi, dostrzega, wypatruje. Ponadto objaśniacz, niezagłuszający utworu swoją mową, zawsze jest gotów ustąpić, oddać głos samemu utworowi, który komunikuje lepiej. Inaczej niż gadatliwy interpretator, objaśniacz jest małomówny – jak Sławiński powtarza, że coś w tekście jest (to jeden z częściej używanych przez niego zwrotów) „po prostu”. Wiem, jakaś tu słabość objaśniacza wobec efektownej paplaniny interpretatora. Co robić?

Objaśniacz zawsze gotów milczeć, żeby przemówił utwór, świadomie nie pozwala sobie na wiele, pisząc o przedmiocie, który znaczy tak dużo i tak rozmaicie. Potrzeba chronienia tego, co najcenniejsze znajduje ujęcie w milczeniu, które najskuteczniej osłania najważniejsze sensy dzieła, zabezpiecza je przed zniszczeniem. Gdy Sławiński węzłowato stwierdza, że dane dzieło jest znakomite, irytuje czytającego, gdyż ani słowem nie wyjaśnia, dlaczego tak uważa – a przecie pochwalna formuła zaostrza apetyt na wyjaśnienie. Zirytowany musi jednak podziwiać konsekwencję myślową objaśniacza: znakomite, więc świetnie wystawiające, nie potrzebujące zatem żadnego omówienia. Literatura, ta nicość słów i niepowaga, która spełnia prawdziwiej niż wszelka obietnica. Wyśłowienie wypowiada, odsyłamy do samego fragmentu i wystarczy. Na przykład do pierwszego wersu *Nogi Tadeusza Peipera*, czyli wyśłowienia zachwytu nad nogą kobiety: „Ten hymn z jedwabiu ponad okrucieństwem z cukru”. I po co więcej, po co się wysilać, wygłupiać, robić z siebie uczzonego durnia?

Literaturoznawcą wyśłowienia okazuje się pan Wołodyjowski, kiedy opuszcza go narzeczona, by wstąpić do klasztoru. Zauroczony ujęciem sprawy przez Zagłobę – „Chwalebna to rzecz habit, ale nie z krzywdy ludzkiej uszyty”¹¹ – Mały Rycerz komentuje w (zadziwiająco jak na oficera jazdy) fachowy sposób: „Wybornie powiedziane! Że to ja nigdy żadnej maksymy nie mogłem ułożyć. W stancyi byłaby rozrywka gotowa”¹². Niezwykła zwykłość wyśłowienia, bez przesadnych pretensji do ważności. We wcześniejszej książce Sławińskiego (*Tekstach i tekstach*) „małomównym”, lakonicznym przykładem „arcydziełka polskiej nowelistyki” była *Panna Winczewska* Marii Dąbrowskiej jako miara „finezji psychologicznej”¹³ (podpowiem: podstarzała bibliotekarka i młodzi żołnierze, ciało i słowo, ubiór...).

¹¹ H. Sienkiewicz *Pan Wołodyjowski*, Warszawa 1977, s. 149.

¹² Tamże, s. 150.

¹³ J. Sławiński *Teksty i teksty*, Universitas, Warszawa 1990, s. 154.

W *Przypadkach poezji*, gdzie mowa przede wszystkim o wyśłowieniu, pisze Sławiński, że wiersz Antoniego Słonimskiego *Niepogodzony* jest „doskonały”. I zanim jeszcze zacytujemy początek utworu, wiemy już, że Słonimski lepiej wyślawia nasze – Sławińskiego i Szymutki – poszukiwania sensu, ich naiwność i bezsłowność, egzystencjalne zagubienie w... brzmieniu, zmęczenie konwencjonalnością, umownością języka, lęk bezsensu. Że my tak pięknie i mądrze nie potrafimy powiedzieć: „Szybko cofnięta taśma dyktafonu / Słów naszych szyk umowny rzuca w nieistnienie, / W gałopujący bełkot. Gdy patrzę na smugę / Światel i cieni nie widząc ekranu, / Niepogodzony z bezsensem istnienia”¹⁴.

Abstract

Stefan SZYMUTKO
Silesian University (Katowice)

What is literature still there for? (In reference to Janusz Sławiński's books *Przypadki poezji* ['The adventures of poetry'] and *Miejsce interpretacji* ['Venue of interpretation'].)

The article challenges the allegedly undoubtable validity of interpretation in literary studies. As it appears in practice, interpretation draws the reader's attention away from the actual literary piece, renders it subordinate to other, 'non-literary', domains of knowledge, with the result that literary studies undermine their own value, losing their separation and autonomy. The assumption behind the essay is that the identity of literary studies may only be restored by focusing on the subject proper, i.e. literature – any methodological questions proving of secondary import.